

# *Sztuka iluzji*

## Rodzina

---

Wydawałoby się, że jesteśmy idealną rodziną: mąż, żona, dwoje dzieci i pies. Niezupełnie. Po prawie dziesięciu latach małżeństwa już naprawdę nie dało się ukryć, że ja i Mirek jesteśmy całkiem nie do pary. Staramy się bardzo, nikt z nas nie chce rozbijać małżeństwa, ale postrzegamy świat zupełnie inaczej. Pobraliśmy się oboje z ogromnej potrzeby rodzinnego życia. Po tych dziesięciu latach silnie czujemy, że mamy zupełnie inne potrzeby, inne marzenia, a siły do wspólnego życia po prostu się wyczerpują. Koło nas biegają szczęśliwe dzieci i szczęśliwy pies. Co z tym zrobić?



## Szkło

---

Pojechałam z dziewczynkami i z psem na wakacje do Sobieszewa. Byli z nami też moi znajomi – Maja i Jerzy Żuławscy. Kiedy tylko znaleźliśmy się w pięknej leśniczówce, powitała nas kobieta w zaawansowanej ciąży. – Mam taką prośbę – powiedziała. – Niedługo pojadę rodzić. Proszę wtedy gotować sobie w pokojach na kuchence, a do męża odzywać się jak najmniej. To miły, ale bardzo specyficzny człowiek.

Nagle kobieta zgięła się wpół i zaczęła rodzić. Z domu wybiegł jakiś mężczyzna i natychmiast przegonił nas do pokojów. Tak zaczął się ten pobyt. Potem codziennie w milczeniu schodziliśmy na dół, mijając „specyficznego człowieka”, który opiekował się kilkorgiem dzieci.

{ *zapisalam* } *Przyjechał Adam z Basią i zabrali mnie z dziećmi do Wałęsów, gdzie on jeździ łowić ryby. Danuta Wałęsowa miła i życzliwa, Wałęsa dziwnie ponury. Myślałam, że on mnie w ogóle nie poznaje, ale nagle powiedział: – I po co się pani wrywała z tym 4 czerwca? Taka chce pani ważna być? Potem się w ogóle nie odzywał.*

Po powrocie od Wałęsów zeszliśmy z Mają i Jerzym do obszernego salonu w leśniczówce. Mężczyzna nawet lekko uśmiechnął się na nasz widok. Urodził mu się syn. Z pewnym wahaniem przyjął zaproszenie na kieliszek wina. Zauważyłam, że jego ruchy są bardzo powolne, że każdą czynność wykonuje z wyjątkowym skupieniem. Tak właśnie stawiał na stole kieliszki i butelkę wina. Zapalił tylko niewielką lampkę i w pokoju było dość ciemno. Nie mówił wiele, odpowiadał na pytania dopiero po chwili, jakby sprawiało mu to jakąś trudność. Rozmowa się nie kleiła, coraz częściej zapadało milczenie. Nagle usłyszeliśmy jakiś trzask. Jakby coś się rozbiło, pękło.

Mężczyzna nawet nie drgnął, tylko był jeszcze bardziej napięty. Za chwilę dźwięk się powtórzył. To coś trzasnęło tuż za plecami mężczyzny. Odwrócił głowę, wstał powoli, otworzył drzwi serwantki i wyjął z niej dwie rozbite szklanki.

– Przepraszam – powiedział. – Czasem tak jest. Szkło przy mnie pęka. Chcieliśmy bardzo dowiedzieć się czegoś więcej, ale mężczyzna schował butelkę wina, kieliszki i powiedział, że chce zostać sam.

Następnego dnia obudziłam się z uczuciem zmęczenia. Trudno mi było wstać, a na wspólnym spacerze nie miałam ochoty rozmawiać. Tak było do wieczora, a kolejnego ranka mój stan się pogorszył.

– Nie wiem, co się dzieje – mówiłam znajomym, kiedy przynosili mi obiad. Ja się przecież nigdy ze sobą nie pieszczę. To nie do pomyslenia, żeby mi ktoś przynosił jedzenie.

Kiedy wreszcie udawało się namówić mnie na spacer, szłam tylko kilka kroków i musiałam wracać z powrotem, jakby droga była dla mnie zamknięta. Cokolwiek by to było, myślałam, dzieci nie mogą mnie widzieć w takim stanie. Moi rodzice byli wtedy w Juracie, więc uprosiłam ich, żeby wzięli dziewczynki na kilka dni, zanim poradzę sobie z tym czymś, co się ze mną dzieje. Rodzice wzięli dzieci chętnie, uznając, że to po prostu przemęczenie i stres.

## Zawirowanie

---

– Odpocznij – powiedzieli, kiedy wsiadałam do pociągu.

W domu od razu położyłam się spać, a rano powiedziałam sobie, że cokolwiek to jest, muszę to przewalczyć. Zebrałam jakieś ubrania, podeszłam do pralki, chciałam ją otworzyć i nagle poczułam, że to nie jest możliwe. Nie otworzę tych małych, okrągłych drzwi. Nie otworzę żadnych drzwi, żadnego okna. Boję się każdego ruchu. Boję się wszystkiego. Zaczęłam nagle płakać, robiło mi się słabo. Nie pamiętam, kto wtedy zadzwonił, ale wiem, że tylko dzięki tej rozmowie wyszłam z domu i poszłam do lekarza.

Lekarz wysłuchał mnie, zaczął zadawać szereg pytań, a potem powiedział:

– Pani Joanno, chciałbym mieć dla pani jakąś ciekawszą informację, ale ma pani typową, banalną depresję. Nagły spadek serotoniny, który trzeba uzupełnić.

Przypomniałam sobie tamtego mężczyznę z Sobieszewa.

– Czy... depresją można się zarazić?

– Nie można – odpowiedział z uśmiechem. – Depresja przychodzi nagle, zresztą możliwe, że miała pani już kiedyś takie stany, tylko w lżejszej formie. Teraz koniecznie trzeba działać lekami.

Zapisał mi prozac, ale postanowiłam wykupić go dopiero następnego dnia. Po prostu nie miałam siły na to, żeby pójść do apteki, poza tym postanowiłam pojechać na Bugaj do rodziców i odwiedzić Pajekę, która została sama i przez cały dzień nie odbierała telefonu.

## Pajeka

---

Kto nie czytał pierwszej części książki, powinien teraz się dowiedzieć, że Pajeka to towarzyszka życia naszej rodziny. Mama poznała ją w szpitalu, gdzie się urodziłam, Pajeka przychodziła potem do nas pomagać w pierwszym tygodniu połogu. Kiedy mama powiedziała: „No to dziękuję pani bardzo, już sama dam sobie radę”, ona odpowiedziała: „A mnie tu dobrze” – i została na całe życie.



Ten smutek. Tak, to on. To nasz smutek, babciu Heleno



Ale teraz na mój dzwonek do drzwi nikt nie odpowiadał. Na szczęście miałam klucze. Kiedy weszłam do mieszkania, nikt nie wyszedł się ze mną przywitać, tylko z łazienki dochodził jakiś jęk. Weszłam tam szybko. Pajeka leżała w wannie cała we krwi.

Poszła się wykapać i dostała krwotoku. Gdybym nie przyszła, nie żyłaby już pewnie. Wołam więc pogotowie, jadę z nią do szpitala, diagnozują nowotwór.

– To pani rodzina?

– Tak, jakby rodzina, nawet więcej.

– Będzie żyła jeszcze jakieś trzy miesiące – mówi lekarz.

Od tego dnia nie opuszczałam jej w szpitalu. Po operacji doszła do siebie dość łatwo, ale przecież była pielęgniarką i mimo moich kłamstw domyślała się wszystkiego. Przywożę ją ze szpitala, nocuję na Bugaju, opiekuję się nią tak, jak ona mną przez całe moje życie. A moja depresja? Jaka depresja? Śladu po niej nie ma. Jestem silniejsza niż kiedykolwiek. Pajeka doszła do zdrowia i żyła jeszcze wiele lat. Recepta straciła ważność.

Potem musiałam ją jednak odnowić. Depresja wróciła po kilku tygodniach ze zdwojoną siłą. Lekarz, który zapisał mi wtedy prozac, uprzedził, że ku-

racja potrwa około ośmiu tygodni. A ja po pięciu dniach poczułam się tak, jakby mi ktoś zdjął z pleców ogromną belkę.

– To możliwe – powiedział lekarz. – Przy nagłym spadku serotoniny mogła pani tak zareagować, ale musi się pani liczyć z nawrotem depresji za kilka lat. Taki typ wrażliwości.

Depresja. Po kim to mam? Moja babka Irena? Nie, z całą pewnością. Wciąż nie aktywna, a smutna tylko kiedy nudno. Jan Parandowski? Wszystko, tylko nie depresja. Jego milczenie, oddalenie nie miało nic wspólnego ze spadkiem sił do życia. Ich córka, a moja mama z pewnością też nie była depresyjna. Chwiejna, niekonsekwentna, raz radosna, raz rozpaczająca, ale nie depresyjna. Mój ojciec? Czy ja wiem? Nigdy nie widziałam, żeby odeszła mu ochota do porannego wstawania. Dziadek Michał? O depresji się nie śni. Za dużo sił do życia raczej. Natomiast moja babka Helena... Nic o tym nie wiem, wnioskuję tylko ze zdjęć.

## Tchórzofretka

---

Gram dużą rolę w filmie „Panny i wdowy”. Wchodzimy z ekipą do domu dziecka. Tu będą kręcone jakieś sceny, a statystowac mają tutejsze dzieci od dwóch do pięciu lat, te najmniejsze. Mają stać w łazience i myć zęby. Operator zaczyna stawiać światła i w obecności tych dzieci krzyczy na maszynistów, wymyśla im, że za wolno pracują. Nie przebiera w słowach. Dzieci stoją równiutko i grzecznie, a on wrzeszczy „niżej, k...wa!”, „wyżej, k...wa!”. Patrzę na te dzieci, takie słowa nie są im obce, ani taki krzyk. Ktoś je przecież tu w tym domu dziecka umieścił, od czegoś uwolnił. A tu przyjeżdża pan filmowiec i jak się okazuje, tak samo wrzeszczy jak pijany tatuś.

– Biorę te dzieci i wychodzę z nimi na spacer – mówię do operatora.

– A jak ja mam bez nich ustawić plan?

– Nie wiem – odpowiadam. – Przyjdę dopiero jak się uspokoisz.

Poszłam z nimi na huśtawki i wróciłam dopiero, jak wszystko było gotowe. Inna scena i inny film. Wchodzimy do wnętrza, a tam w klatce siedzi jakieś zwierzątko – tchórzofretka chyba. Wobec tak wielkiej liczby ludzi spr-

wia wrażenie spłoszonej. Kiedy zapalają się filmowe światła, robi się niepodziewanie jasno i gorąco, zwierzątko wciska się w głąb klatki. Malują mnie, ubierają, a ja nie mogę przestać patrzeć na to zwierzę. Jest potrzebne do jakiegoś małego ujęcia. Wołają mnie na plan, przed kamerę, a ja nie mogę sobie przypomnieć tekstu.

– Może najpierw skróćcie scenę z tym zwierzęciem i wypuście je? – pytam kierownika produkcji. – Ja mogę poczekać.

Wszyscy wzruszają ramionami i szykują się do zdjęcia. Stojąc przed kamerą patrzę na tchórzofretkę i widzę zmiany na jej sierści. Może to tylko światła.

– Słuchajcie – mówię – ona się zrobiła jakaś srebrna.

– Osiwiała – mówi ktoś z ekipy – ze stresu.

– Kamera! – słyszę głos operatora, ale nie mogę wymówić ani słowa tekstu. Mówię, że muszą najpierw wypuścić to zwierzę, inaczej nie będę grała. Słyszę pomruki: „z nią się nie da pracować”.